ZEW ŚWIETLICZAN

Miesięcznik Międzyświetlicowy Zagłębia Dąbrowskiego

Rok VII **Będzin, grudzień 1935.** **Nr. 2**

„Polska — potęgą kulturalną na Wschodzie".

Kiedy w Polsce Odrodzonej zaczęliśmy organizować życie kulturalne narodu i kiedy zastanawialiśmy się nad misją dziejową naszego społeczeństwa — padły słowa Marszałka Józefa Piłsudskiego, że posłannictwem naszem jest być „potęgą kulturalną na Wschodzie".—

Co to znaczy? Co to jest potęga kulturalna?...

Każdy człowiek, każdy naród — ma swoje zadania i cele dwojakiej natury: materjalistycznej i idealistycznej. Dążymy do bogactw, do rozkoszy życia doczesnego, do szczęścia osobistego i zbiorowego, usiłujemy pomnożyć narzędzia pracy, produkujemy coraz więcej i lepiej, potęgujemy dobra materjalne, gromadzimy i ulepszamy środki dla ochrony naszego życia zbiorowego. Są jeszcze inne dążności: człowieka nie zadawala życie, zwrócone w stronę zaspakajania potrzeb ciała. — On domaga się życia innego, duchowego.

Domaga się on szlachetności i sprawiedliwości w postępowanin wszystkich istot, walczy o bezwzględną prawdę w życiu, oburza się małością i egoizmem — dąży do wielkich czynów i bohaterstwa — stwarza sobie zasady honoru i nieskazitelności w postępowaniu człowieka. Tak samo w życiu narodu i państwa musi istnieć dążność do stwarzania dzieł niesporzytych i porywających, któreby nietylko pociągały i czarowały swoich, ale i nawet obcych. —

Dawna Polska szlachecka wypracowała sobie przynajmniej przez lepszych swoich obywateli idee, myśli i uczucia, które stawały się nietylko wspólną własnością Polaków, ale promieniowały na daleki Wschód, sięgając bram Moskwy.

Idea jagiellońska, idea łączenia i wiązania różnorodnych narodów w jedno państwo przez takie hasła jak: wolni z wolnymi, równi z równymi — dawała dobre wyniki. Cała bowiem szlachta ruska i litewska spolszczyła się w zupełności. Najwięksi nasi bohaterowie wyszli częstokroć z narodu niepolskiego. Dość wymienić Kościuszkę i innych. Taka była siła kultury polskiej, polskiej myśli, że kiedy we właściwej Polsce akta pisano po łacinie, to na ziemiach ruskich i litewskich pisano i drukowano prawa po polsku... Kiedy Iwany Groźne w Moskwie się srożyły nad swoją ludnością, szlachta moskiewska rozczytywała się w polskich księgach i chłonęła ze wzruszeniem piękno i urok myśli polskiej.

Byli w Polsce ludzie wielcy, których lud moskiewski na klęczkach błagał, by z nim pozostali i darzyli go mocą swego ducha i wspaniałomyślnością swego serca. Dość wspomnieć Stanisława Żółkiewskiego, wielkiego hetmana, którego po rękach całowano w Moskwie. Prosty lud obcej nawet narodowości wyczuwał bezwiednie i nieświadomienie w owych przedstawicielach (jak Zamoyski, Żółkiewski, Sobieski, Piłsudski) polskiej kultury coś potężnego, dobrego i zbawczego dla ich istnienia, korzył się, lgnął do polskości, do polskiej myśli, polskiego słowa, naszej twórczości. To było naszą siłą i potęgą kulturalną... na Wschodzie. Kiedy nasze państwo z końcem 18 wieku runęło, z czasem zanikła siła przyciągająca polskiej kultury... Tragiczne to dzieje!

Obecnie wracamy do równowagi, do wyrównania strat naszych na Wschodzie i Zachodzie. Twórcą i organizatorem kultury w Odrodzonej Polsce jest już nie szlachcic, ale cały naród polski, wszystkie warstwy społeczne. One też mają obowiązek stwarzać nowe idee, myśli i uczucia, któreby porwały inne narodowości. Mamy być potęgą kulturalną na Wschodzie. Czy podołamy?... Czy jesteśmy do tego przygotowani?..

Spełnijmy testament Wielkiego Wodza!

Boże Narodzenie.

Wesołe to święta „Boże Narodzenie“, czekamy nań z tęsknotą, witamy je ze wzruszeniem głębokiem i szczerem, każdy zapomina o troskach i bólach dnia codziennego, o utrapieniach materjalnych, a na twarzach zakwita uśmiech pokoju.

Te radosne święta, przypominają nam, jak to przed dwoma tysiącami lat nad ubogą stajenką zabłysła gwiazda betleemska, w tem każdy z otuchą i nadzieją spogląda w przyszłość, siły nowe zradzają się w piersiach ludu, podnoszą się głowy, które pochylone są brzemieniem trosk niedoli, a oczy pewnie i jasno spoglądają w przyszłość, przypominając sobie dni dzieciństwa.

Jednak nadchodzi chwila, że święta „Bożego Narodzenia“ mijają, przygasa wesoły nastrój i dzień szary poświąteczny, znowu przychodzi na myśl nie kończąca się opowieść o ciężkich trudach życia, znowu przychodzą troski niedoli i nadal rozpacz nędzy.

Lecz nie wszystko powinno zgasnąć, chociaż jedna niech zostanie w duszy iskierka nadziei, niech jeden płomyk, rozniecony od świateł choinki wigilijnej pozostanie na dłużej w sercu naszem, nie można pozwolić zgasnąć jemu na zawsze, trzeba zachować dłużej tę świąteczną wiarę w lepszą przyszłość, musimy potęgować ją i stale powtarzać, że każde zło można przezwyciężyć i że mimo wszystkiego idziemy naprzód.

Dobrze wiemy, że bywało gorzej, długiem pasmem wspomnień niech przesuną się przed nami dawne wigilje zwątpień, klęsk narodowych i gdy po krwawych próbach wyzwoleń ciemna noc zapadła nad narodem w niewoli, a przodkowie bohaterzy przeżywali gorzkie dni rozczarowań i klęsk.

Ale minęły już na zawsze te wigilję, bolesnego czuwania, od siedemnastu lat jaśnieje nam zorza wolności, a z ruin i pogorzelisk dawno nowe odrodziło się życie.

Więc trzeba zapomnieć na chwilę o naszych troskach codziennych, a rzucić okiem na całość rozwoju naszej Ojczyzny.

Tę mocną wiarę w promienne jutro i odrodzenie zachowajmy więc na zawsze i z wiarą we własne siły, kroczmy śmiało, drogą pracy i wysiłków, a każdy rok zbliżał się będzie do chwili, kiedy zajaśnieje pokój i radość na polskiej ziemi.

Gdy po trudach i pracy dnia powszedniego, drodzy świetliczanie, zasiądziecie przy stole wigilijnym, w świetlicy, lub w domu w gronie swej rodziny, aby łamać się symbolicznym i tradycyjnym opłatkiem, życzmy sobie jaknajlepszych rezultatów pracy w świetlicy, dużo zrozumienia i wiele współczucia dla nędzy ludzkiej, łączmy się węzłami braterstwa i jedności, gdzie jest nagroda, dobrze spełniony obowiązek w służbie Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej.

F. Haldyk

Gołonóg, kol. Dziewiąty

Głos od Bieni.

Koło domu sołtysa jest tablica ogłoszeń, na której przeważnie nigdy nic niema. Patrzę, a tam ludzisków co niemiara, — lecę ja tam — jażem zdumiała, patrzę i oczom nie wierzę. Czytam jeszcze raz: „Świetlica w Antoniowie odegra sztuczkę p.t. „Zasadzka“ i t.d.

Zdziwiłam się okrutecznie, bo ta niby należę do Świetlicy, ale chwalić Pana Boga byłam tam dopiero raz. Sąsiadka Jaśkowa mówiła, że jak przechodzi koło Świetlicy, to nic nie słychać ino śmiechy, a przytupywania, a jakieści brzękolenie, a śpiwy i nic więcy. Mój stary tyż nic nie mówił. On się strasznie wszyćkiem interesuje — nawet do Wygiełzowa poleci, żeby popatrzeć jak tam idzie robota i jak już mówił w „Zewie“ bardzo mu się tam podoba i chciałby na jeszcze wyższym poziomie postawić antoniowską Świetlicę, — tylko on trochę nieśmiały.

Oj, gniewali się na niego, gniewali, za ten artykuł i to ich gniewało, że to niby z tą „Zasadzką“ tak długo siedzieli. Dopiero ten ich satyryk p. Stanisław Bo....... jak zaczął do rozsądku przemawiać, a wstydzić wszystkich, dopiero wiara ochłonęła. Jak sobie wzięli na „ambit“ tak zagrali w niedzielę w sali szkolnej w Antoniowie. A zagrali — że mój Ty Boże — aż serce rosło z radości, gdy się patrzyło na tych szarych legunów w okopach, a trwoga ogarniała, gdy się pojawili rosyjscy generałowie.

Cieszę się ogromnie, że pokazaliście wszystkim swoją pracę.

A teraz wam powiem, że ten Karcz, niby mój chłop (mąż) to nie chciał Was wyśmiać, ze nie umiecie ruchów, czy też słów dobrze wypowiadać, jakto tłumaczyliście sobie, ale chciał Wam powiedzieć jak trzeba się zabrać do opracowania jakiejkolwiek sztuki. Dawał Wam wskazówki, a nikogo nie krytykował. A może chciał Was zawstydzić, że do tej pory nie dajecie znać o sobie w „Zewie“.

Na zakończenie radzę wszystkim członkom Swietlicy, aby często zaglądali do Swietlicy, żeby sami widzieli pracę Swietliczan, bo potem to różne plotki po wsi chadzają.

A więc Swietliczanie naprzód, podniesiona głowa, boście naszej wioski chluba i ozdoba! Hu! Ha!

Karczowu z Antoniowa.

Antoniów, dn. 12.XI.35.

Z życia Uniwersytetu Powszechnego w Czeladzi.

Wrażenie amatora i widza na przedstawieniu sztuki St. Żeromskiego p.t. „Sułkowski" — odegranej w Czeladzi przez słuchaczy U.P.

Jeszcze jedna chwila, i kurtyna rozsuwa się. W głębi czarna czeluść, z której wyłaniają się jak zjawy, niewyraźne twarze z pierwszych rzędów. — Cisza. — Ile oczu patrzy na nas? Niewiadomo! Napięcie nerwów, obawa czy też nie stanie się co złego? Padają słowa spokojne i pewne siebie słowa „Zawilca": „Szyje się chodak"... A więc zaczęło się! Mieliśmy obawy, — bo przecież po czterech tylko próbach? A jednak akcja ciągnie się normalnie. Chciałoby się wyczytać z oczu, z ruchów publiczności jakie wrażenie robimy, czy może zobaczylibysmy znudzenie, bierność, a może — zainteresowanie? Ale sala ciemna, cicha. Jak niewidoczny sędzia zmusza do wydobycia z siebie wszystkich wartości, całej prawdy.

Nagle — w pewnej chwili — słyszymy coś, co wydaje nam się oceną godną greckich bogów, słyszymy śmiech sali, śmiech swobodny, wywołany momentem akcji, słowami „Zawilca", śmiech w tym wypadku — to sprawdzian przewidywań to słowo pochwały. Serce aktora-amatora uderza silniej, swoboda ruchów wyraźniejsza, grający czują się jedną wspólnotą z widownią i gdy kurtyna oddziela nas od reszty, chciałoby się liczyć oklaski, chciałoby się odczuć, co kieruje teraz uderzeniem tej pary rąk, drugiej, trzeciej... Co przeżywa widz siedzący na sali? ten robotnik wyrwany z szablonu codziennego życia? Przyszedł na akademję dla zabicia czasu, tak jak i miejscowa inteligencja; słuchał obojętnie muzyki, śpiewu i z chwilą odsłonięcia kurtyny do „Sułkowskiego" przygotował świój, daleko idący sceptycyzm, przygotował się do krytycznie ujemnej opinji, wszak to amatorzy, cóż mogą dać? On, współczesny robotnik, mający dostęp do książki, radja, kina, uświadomiony socjalnie potrafi „ocenić"! A jednak — gdy rozmowa na scenie zahacza o stosunek chłopa-żołnierza do zagadnień społecznych, o jego umysłowość, poglądy? Gdy Sułkowski-republikanin głosi hasło równości, w widzu-robotniku budzi się coś, czego nie umie określić. Jego skrystalizowane poglądy na bezwartościowość przeszłości polskiej, na fałsz historji — zestawione z akcją na scenie, — dziwnej podlegają ewolucji, przeistoczeniu. Wysuwa się cieniutka, pajęcza, srebrzysta nić sympatji dla tych dawnych czasów i dla tych, co ją odtwarzają. Przestaje widz-robotnik zważać na błędy wykonania — słucha treści! A gdy pieśni o nieznanym żołnierzu, akordem uczucia uderza o jego mózg, — serce, oschłe w dzisiejszej szarej walce o chleb chwyta szeroką falą — „Miłość".

Gdy w bibljotece weźmie katalog do ręki, napewno poszuka „Sułkowskiego", by przeczytać dalsze akty, napewno zacznie czytać inne książki Żeromskiego, który z dziwnym uśmiechem wieczności, na olimpie twórczości polskiej siedząc, dla kultury polskiego tworzywa dopisze jedno więcej serce *Swantewid.*

Stefan Żeromski — 10-ta rocznica śmierci.

Gdy w gorzkiej atmosferze popowstaniowej w 1863 r. pisarze znaleźli wreszcie nowy kierunek, gdy rozwijający się w szybkim tempie egoizm warstw „wyższych", gdy patrjotyzm upatrywano w bierności i lokajstwie politycznem, — to się wydawało, że przepadł w naszej literaturze duch wolny, że został przytłoczony ciężarem niewoli ostatecznie.

A jednak nie! Nie zginęła wolność i sprawiedliwość. Przyczaiły się tylko i knuły pod ziemią, psując słodki nastrój znachorom politycznym przez tajne odgłosy zmawiań. A piewcą tych ukrytych marzeń i sił, był właśnie Stefan Żeromski. Mimo pochodzenia szlacheckiego Stefan Żeromski nie idzie śladami pisarzy szlacheckich. Jeżeli w powieściach Sienkiewicza nie uderza nas troska o warstwy społeczne niższe, to Żeromski uderza w swych utworach w nowy ton: budzi w czytelniku niezwykły nastrój przez postać zapomnianego w literaturze powstania, przez szarpnięcie sumieniem i przez... osobę chłopa. („Rozdziobią nas kruki wrony"). Żeromski w dziele swojem daje straszny obraz ustosunkowania się chłopa do powstania, w którem nie bierze udziału masowego, lecz zjawia się na pobojowisku, uczestnicząc w nagiej prawdzie życia, jaką jest walka o wolność osobistą i jego byt. W chłopie budzi się uczucie zemsty za tylowieczne niewolnictwo i hańbę. Tak Żeromski tłomaczy postępowanie chłopa względem szlachty.

W utworach Żeromskiego: bohaterowie poświęcają się dla dobra nie osobistego, lecz społecznego, a przedewszystkiem dla dobra tych wydziedziczonych — robotników i chłopów. Autor przedstawia nędzę życia, bohaterstwo poświęcenia i walkę, zarówno na placu boju, jak też i w duszach ludzkich.

Mickiewicz opisuje życie i zmagania w „Dziadach". Żeromski dał nam daleko większy obraz zmagań się w walce z przemocą caratu z tak niedawnych czasów, żywo stojących nam w pamięci. Żeromski w jednym ze swych utworów przewidział blaski i cienie naszej niepodległości. („Przedwiośnie"). W innym utworze jakże potężnie brzmi głos Żeromskiego: „Polska nie dlatego powstała, żeby dygnitarz cywilny, czy wojskowy jeżdżąc w automobilu obryzgiwał dziadów i żebraków, wtulonych w każdy kąt, w każde załamanie muru stolicy państwa. Polska nie dlatego powstała, żeby w jej granicach miała swe rozpostarcie wszelaka bezprawość. Polska odrodziła się ze krwi i pracy męczenników po to, żeby na miejscu, gdzie stała ciemnica niewoli rozpostarło się

pracowisko postępu". („Snobizm i postęp").

My młodsze pokolenie podchwyciliśmy ten wielki głos Stefana Żeromskiego, pracując w najjaśniejszych pracowiskach kultury i postępu, a którym na imię dano Uniwersytet Powszechny. Pracowiska te nas nie zawiodą i wyjdziemy z nich jako ludzie, o jakich marzył i opisywał nasz Nieśmiertelny Piewca Stefan Żeromski!

„Franek"

P. S. Powyższe myśli są wypowiedzią jednego z ucrestników zespołu dobrej książki na U. P. Wiadomo, że na U. P. w Czeladzi praca opiera się na zespołowości. Jeden zespół, złożony z kilku osób, żywiej i serdeczniej zainteresował się twórczością Żeromskiego. Postanowiono uczcić tego pisarza przez odegranie „Sułkowskiego" (w 1 akcie) dla szerszej publiczności, natomiast we własnem kółku, dla swoich urządzono przemiły wieczorek, na którym miłośnicy twórczosci Żeromskiego swoim kolegom przedstawili piękno, urok i potęgę myśli i uczuć tego artysty, który tak bardzo współczuł upośledzonym i wydziedziczonym ludziom. Było to ciche, a rzewne wspomnienie dla wielkiego artysty i Polaka w 10-tą rocznicę zgonu!

Praca realizacyjna w świetlicach.

W Gołonogu coś się zaczyna dziać.

Gołonóg kolonja Dziewiąty — to zakątek powiatu będzińskiego, leżący niby na przedmieściu Dąbrowy G., a w gruncie rzeczy odcięty od świata kulturalnego na cztery spusty. Dojechać do tej nieszczęsnej biedulki nie można furą, ani autem, chyba na własnych „rodzonych" nogach. Kiedyż ktoś zlituje się nad nami i połączy nas z resztą świata, zwłaszcza w dni słotne i błotne?.. Wdzięczni bylibyśmy tym wszystkim, którzyby nas „włączyli" na długą falę powiatową przez nową dobrą drogę. Kto nam dopomoże? A możebyśmy tak sami obywatele kol. Dziewiąty zorganizowali się do walki o okno na świat. Zamiast swarów, plotek mielibyśmy co pewien czas wieści ze świata, od wpływowych ludzi, co się dzieje z naszą linją komunikacyjną. Sądzę, że znajdą się ludzie, prawdziwi społecznicy, którzy będą mieli czas, by kołatać u władz o lepszą drogę z Dąbrową. Byłaby to piękna inicjatywa społeczna, wpłynęłaby dodatnio na ożywienie życia kulturalnego. Dąbrowa byłaby wtedy dla nas nie stolicą, błyszczącą w oddali, ale ogniskiem kultury, całkiem namacalnie nas ogrzewającym. Pragniemy mieć kontakt ze światem kultury, a tymczasem przyroda i błoto spycha nas na samo dno kryzysu, martwoty i apatycznej senności. Prosimy o więcej słońca i wieści z kraju i świata. Odcięci od źródeł oświaty wegetujemy w ciasnych zaułkach naszej kolonji, jak wygnańcy, skazani na konanie na nielitościwej ziemi. Świetlica nasza jest jakby światełkiem, ognikiem na tle ciemnych mroków nocy. Gromadźmy się koło niej i skupiajmy wszelkie bezinteresowne chęci, ludzi dobrej woli! Niechaj zniknie brud i błoto z tej zapomnianej kolonji. Już coś zaczyna u nas kiełkować nowego. Oto niektórzy członkowie świetlicy pragną stworzyć komitet, złożony z różnych ludzi naszego ośrodka, którzyby się zajęli sprawą elektryki. Oto o parę kroków od nas jest kopalnia „Flora", gdzie wszystko jest oświetlone elektrycznością. Oto o kilometr od nas bije łuna od oświetlenia elektrycznego w Dąbrowie, a my tymczasem bez światła pogrążeni w ciemnościach, zdani na łaskę losu trwamy i żyjemy bez wiary w jutro, bez wiary w nasze własne siły. Nikt dotąd nie chciał się z nas zająć sprawą elektryki dla naszej kolonji, a przecież to sprawa nie cierpiąca zwłoki i niezmiernie pilna.

Chwała Bogu, że choć garstka wśród nas się znajduje uczynnych ludzi, którzy myślą choć raz na rok o dobru powszechnem. Niech idą do Elektrowni w Małobądzu, niech wystarają się dla nas o tę trochę jasności i blasku światła, tak korzystnie wpływającego na rozwój oświaty i wszelkiego postępu. Zamiast kołtunerji będzie u nas światły i uświadomiony obywatel, oczytany, idący z postępem techniki, wynalazków i przemian społecznych i kulturalnych. Cieszymy się bardzo, że zwolna u nas zanika ta dziwna niewiara w własną moc, to, co tak boleśnie się odczuwa, gdy się patrzy na gromady ludzi zazwyczaj w takich, jak nasz ośrodkach.

Zdaje się, że te nowe formy oświatowe powoli rzeźbią w tej caliźnie ludzkiej swoje koleiny i poruszają te masy ludzkie z odrętwienia i bezdennej bierności. Zaczynamy wierzyć, że u nas wśród tych niskich domków skleconych z cegieł, polnych kamieni i innych środków kopalnianych kiełkuje nowe odmienne życie.

Otuchą napełnia mnie takie wydarzenie. Po pracy wieczorem spieszę przez krętaninę naszych uliczek, czasem w ciemności wpadam do miękkiego zagłębiowskiego, kleistego bajorka, przesuwam się zwolna koło wyrobisk, dołów, hałd, nagle zatrzymuje się, bo słyszę jakieś szepty. „Władek — mówi jakiś głos młodego mężczyzny—chciałbym zapisać się do świetlicy, ale nie wiem, czy mnie przyjmą. Słyszysz, jak tam teraz wesoło, śpiewają kolędy i różne pieśni wesołe. Bardzo mi się nudzi, nie wiem sam, co dziś ze sobą zrobić, od rana do wieczora wyłażę się w poszukiwaniu pracy i nic nie mogę znaleźć — przynajmniej w wieczór chciałbym na chwilę zapomnieć o tych troskach codziennych, a beznadziejnych". Obok stojący drugi młody człowiek odpowia-

da: „Wątpię, czy cię przyjmą, bo poprzednio przyjmowali bez wyboru, to potem naschodziło im się moc chacharów, którzy nie chcieli nic wspólnie robić, tylko się kłócili i obwiniali się o różne nieprzyzwoite rzekomo czyny“. „No, ale nie zaszkodzi spróbować“. Tymczasem szeptem mówi: „Bądź cicho, bo cię jeszcze od tych okien i ścian odpędzą, myśląc, że im chcesz jaką psotę wyrządzić“. Słuchają biedaki na zimnie tych ciepłych głosów i marzą o ciepłej izbie świetlicy, gdzie podobnoć jest wesele i pogoda wśród szalejącego, strasznego bezrobocia i czarnego, lepkiego błota gołonoskiego.

Wiem, że ci dwaj, gdy weszli do świetlicy, byli czynnymi i godnymi członkami rodziny świetlicowej, napewno pracowali, by w tej gromadzie biedaków było dużo światła i jasności! Do nich chyba należy jutro nowego życia!..

Gołygowski Antoni.

Gołonóg, kol. Dziewiąty—w grudniu 1935 r.

Malinowice przygotowują się do prac w Przysposobieniu Rolniczem.

Kochany „Zewie“!

Nieraz pisaliśmy do Ciebie — teraz jeden numer przegapiliśmy — ale teraz chcemy się poprawić. W pierwszych słowach mego listu pozdrawiam serdecznie w imieniu tutejszych świetliczan całą redakcję „Zewu Swietliczan“. Widzę, że teraz każda świetlica ma swojego redaktora—delegata, co bardzo mi się podoba i mybyśmy też nie chcieli pozostać na końcu, dlatego dopraszamy się też tego zaszczytu, a my ze swej strony przyrzekamy, że do każdego numeru nadeszlemy, choć jeden conajmniej artykuł. Ja się umówił z przyjaciółmi ze świetlicy, a będzie nas dziesięciu, że każdy z nas raz na miesiąc weźmie się do pióra, jak do łopaty, splunie po chłopsku w garść i napisze o wiejskich „rozkoszach“, zabawach, pracach, o niedoli—o chłopskich i gospodarskich sprawach. Życzylibyśmy sobie pięknie, by Szanowna Redakcja chciała nam odpowiedzieć na nasze pytania, gdy będziemy o co pytać — bo u nas, w chłopskich głowach też się różne myśli przewalają—człowiek se medytuje, skrobie się po głowie i pyto: po jakiemu to wszystko. Chciałby nareszcie wiedzieć człek gdzie prawda, a gdzie oszukaństwo. Dlatego my se tak po kumotersku w tej naszej Malinowickiej redakcji, tak w dziesięciu, uradzili, by pytać o różności nasze wsioskie Wos tam w Będzinie. Odpiszcie tam nam jak ta umiecie, a my Wom za to będziemy wdzięczni do grobowej deski. Rozpisaliśmy się tak jakoś za długo, a zapominamy o głównej treści naszego listu.

W Malinowicach najbardziej nas męczy to Przysposobienie Rolnicze. Dwa lata temu z biedą, po długich namowach i sporach wzięliśmy się do owego Przysposobienia. Pan Sternik wszystko nam dokumentnie i akuratnie wytłumaczył. Przyszła wiosna, śniegi zeszły z pola, ziemia osuszyła się—słonko przygrzało i już trza było wziąć się do roboty, do tego Przysposobienia. Wziąłem chomąto, chce ubrać siwka, aby zaorać poletko, a tu leci do mnie Jonek od Sarońki i drze się: „Co to głupi chcesz nowe podatki na siebie ściągnąć“?! O ty głuptoku i warjocie będziesz na wieś nakładoł ciężary! Rzucej to chomąto i nie jedź nigdzie, bo ci chłopy łeb rozbiją, a w najgorszym razie wszystko ci zniszczą na poletku“! Przestraszony, nie wiedziałem, co robić. Idę do innych zespołowców i pytam się, co robić? Radzę się przodownika Garncarza, a on na to: „Józek, nie bój się żadnych podatków, bo to jakasik głupia agitacja, to niema nic wspólnego z powiększeniem podatków. Weźmy się razem do kupy i nie dajmy się nikomu. W pole wyjeżdżamy zaraz i z głupiego gadania nic sobie nie będziemy robili, a gdyby nam chcieli co niszczyć, to im pokażemy“! Tutaj wyciągnął swoją twardą pięść, grożąc w nieokreśloną przestrzeń owym głupim ludziskom, dającym wiarę nierozumnym „mądralom“.

No i na swojem postawiliśmy! Wszyscy konkursiści do końca wytrwali, dzienniczki prowadzili, a w jesieni w nagrodę otrzymaliśmy dziesięć drzewek. Ile to było radości i zazdrości. Jantos z pod Dąbia aż zsiniał ze złości. A do djabła, że ja nie wziąłem się do tej roboty, byłbym miał drzewka owocowe“. Tak po niewczasie żałowali różni bajacze nasi. Naturalnie, że już teraz wierzyli, że to Przysposobienie, to nie żadne pańskie widzimisię“.

Tego roku było już lepiej — nikt już nie gęgał o podwyższeniu podatków. Do zespołu zgłosiło się wielu. Zabrali się do pracy. Nagle gruchnęła skądś głupia wieść: Władze z Przysposobienia Rolniczego dają za darmo wszystko do hodowli, ktoś inny jeszcze „mądrzejszy“ rzucił coś innego, stokroć potworniejszego: „Jędrek od Kowola dostał pieniądze na nasienie, czekajmy aż coś nam da“. — Plotkowano, biednego Jędrka obmawiano, nikt mu nie dał dobrego słowa, aż musiał się w to wdać nauczyciel z sąsiedniej wioski, aby im wyjaśnić, że niesłusznie posądzają Jędrka o zabrane pieniądze.

Niestety, lato już nadchodziło i nie czas było na prace w Przysposobieniu Roln. Wstyd nas było przed innemi wsiami. Śmiali się z nas. Mówili tak: „Ehe, to ci idą z tych niemrawych Malinowic, co to szukali skarbu w kieszeni Jędrka Kowola“! Skarb tymczasem leżał na ich poletkach nieuprawionych.

Wstydzą się Malinowiczanie i na przyszły rok już teraz się zapisują do P. R. Aby tylko nie dali wiary złym i głupim ludziom!

A teraz pozdrawiam jeszcze raz Szanowną Redakcję, a innym świetlicom życzę: Szczęść Boże w pracy!

Józek Świerguła
Z Malinowic.

Zagłębie Dąbrowskie w oczach przybysza.

Przybysz, znalazłszy się po raz pierwszy w Zagłębiu, uderzony jest smukłemi kominami, z których wychodzący dym rozpościera się szeroką płachtą nad ziemią, nadając jej jakiś dziwny wygląd. Gdyby tak, ten ktoś, wzniósł się w górę i spojrzał z góry na tę połać ziemi to porównałby ją do lasu kominów. Obok każdej kopalni lub też jakiejkolwiek fabryki piętrzą się usypiska żwiru lub też innych bezużytecznych skał, które tląc się otaczają całe usypisko niebieskim płomieniem, zatruwając wkoło powietrze. Wskutek tej „ciężkiej atmosfery" życie w przyrodzie jest przyduszone i jedynie tylko upragniony deszcz czyści ją trochę i obmywa z kurzu liście drzew. Przepływające tutaj rzeki czy też nawet małe strumyczki są mocno zanieczyszczone odpadkami fabrycznemi nadając im szary wygląd i jedynie duże pływające oczka, powstałe z rozpuszczonych smarów, figlarnie spoglądają w naszą stronę. Obok piętrzących się w górę kominów zauważymy ogromne budowle, które w dzień odstraszają nas swoją szarością a w nocy znów wabią tysiącem drobnych światełek.

Budowle te pochłaniają całe masy robotników dążących do pracy. Co chwile rozlega się świst i łoskot maszyn, poruszanych zapomocą pary, a kierowanych ręką człowieka. W podziemiach pracuje kilkaset górników, którzy niezmordowanie wyrywają z tego czarnego królestwa, czarny diament, który następnie ładowany jest na wózki i wywożony na powierzchnię a dopiero stąd rozwożą go w świat. Ponieważ „smoluchy" obcują stale ze śmiercią, więc nic dziwnego, że robią się z nich ludzie brutalni i przewidujący. Ogromny kult czują oni do swej patronki św. Barbary i święto Jej obchodzą z wielką uroczystością.

Robotnik w Zagłębiu pomimo ciężkiej pracy jest jednak szczęśliwy, gdyż on wie, że jego praca przynosi Ojczyźnie korzyść. Ziemia pokryta jest siecią kolejową, krzyżującą się w różnych kierunkach, wszędzie przebiegają ładowane pociągi z węglem i innemi produktami, wyrabianemi w naszem Zagłębiu. Dopełnieniem krajobrazu Zagłębia są potężne słupy wysokiego napięcia, biegnące z jednej strony na drugą stronę tego lasu kominów jak i też ogromne spadziste doły, z których biegną wózki napełnione piaskiem lub gliną. Dzięki tak cennemu węglowi Zagłębie ma ogromne znaczenie w kraju pod względem gospodarczym.

Alka

Porąbka-Pekin. wyciąg z „Naszej myśli".

W Dańdówce dyskutują o niedoli Polaków za Olzą.

Patrzę od budynku szkolnego w stronę stacji. Właśnie jest teraz godzina 15.30. Z hukiem i trzaskiem wjeżdża na naszą stacyjkę w Dańdówce pociąg, idący od Sosnowca. Rozmawiam z kierowniczką p. Baldówną i prezesem p. Cyganem na temat mającej się odbyć za chwilkę pogadanki o Polakach za Olzą. — „Czy tylko prelegent przyjedzie" niepokoi się nasz prezes. Ej, chyba tak — wyrokuje p. kierowniczka, przecież na naszym wieczorku przyrzekł nam napewno przyjechać i chyba nas nie zawiedzie. Bo zresztą cobyśmy ludziom powiedzieli, martwi się dalej prezes.

Wnet jednak obawy okazały się płonne, bo oto zza pociągu idącego dalej do Kazimierza, idzie szybkim krokiem prelegent. Wkrótce dochodzi do kilku świetliczan i pyta, czy odbędzie się pogadanka, czy jest dość świetliczan, czy są tą sprawą zainteresowani, co ich najwięcej niepokoi w zatargu polsko-czeskim. Właściwie już na dworze zaczyna się dyskusja prelegenta ze słuchaczami a właściwie z dobrze znajomemi twarzami — osobami, Widzę, że prelegent, kierowniczka i prezes wchodzą do świetlicy w szkole. Trwają w dalszym ciągu powitania, a to bibljotekarz opowiada o swoich czytelnikach, o ich zainteresowaniach—inne mówią o biedaszybikach, głębokich podobnoć nawet na 80 metrów, gdzie grozi „kurzawka", zalew wody, gazy trujące, łatwo zapalne—wszystko żywo podniecone konfliktem polsko-czeskim. Przygodni znajomi rzucają niecierpliwe pytania prelegentowi, czy będzie wojna z Czechami. Dlaczego Czesi tak naszych prześladują? Co to jest Zagłębie ostrawsko-karwińskie, dlaczego Polska nie interwenjuje, nie wyrzuca Czechów z Wołynia. Przecież ci Czesi z Wołynia, mieszkający na granicy mogą wchodzić w porozumienie na wypadek wojny z bolszewikami. Budzi się u słuchaczy troska o przyszłość Polski. Łatwo oczywiście prelegentowi przejść do pogadanki, ma już tyle postawionych zapytań, że z pewnością starczy mu tematu na dwie godziny conajmniej. Mówi najpierw o Śląsku Cieszyńskim jako krainie odwiecznie polskiej, zamieszkałej zawsze przez żywioł polski, rządzonym przez książąt piastowskich do 17 wieku. Dalej wywodził o budzeniu się polskości na Śląsku w 19 w., a wreszcie o krzywdzie i niedoli ludności polskiej od najazdu czeskiego z dn. 23.I.1919. Padały cyfry wydalonych Polaków z granic państwa czeskiego — czuliśmy prześladowanie i nędzę żywiołu polskiego za Olzą. Przytoczono w pogwarce dokumenty, zatwierdzone przez Czechów, a nigdy nie dotrzymane. Budziło się w nas żywe współczucie dla naszych rodaków. Pytaliśmy się bezustanku prelegenta, dlaczego Polska tak wolno postępuje, dlaczego daje krzywdzić swoich ludzi. Domagaliśmy się stanowczej odpowiedzi przewrotnym Czechom, pragnęliśmy naprawy krzywdy naszym rodakom, choćby kosztem obywateli czeskich, znajdujących się na naszem terytorjum. Wielu z nas zabierało głos — np. p. Koźmiński z Upadowej i inni.

Poruszano różne sprawy. Jedni chcieliby, byśmy połączyli się z Węgrami i Niemcami. Drudzy znowu ostrzegali przed wszelkiemi związkami z odwiecznym wrogiem. Inni jeszcze chcieli natychmiast odbierać co nasze za

Olzą. Wogóle okazało się, że jesteśmy zapalczywi i bardzo skorzy do walki. Dużo musiał prelegent tłumaczyć: położenie nasze, naszą sytuację finansową, gospodarczą, nasze stosunki z sąsiadami — mówił o sojuszu Czechów z Rosją, o przewrotnosci ministra Benesza i zachłanności nacjonalistów i socjalistów czeskich.

Pogadanka dała nam wiele—ugruntowała nasze wiadomości o Polakach za Olzą—wiele błędnych poglądów i zapatrywań zmieniła — ugruntowała nasze uczucia patrjotyczne do owej nieszczęśliwej krainy Śląska Zaodrzańskiego, która wydała wielu wiernych Polsce synów, z której wyszedł oryginalny pisarz życia górniczego Gustaw Morcinek, urodzony w Karwinie, w okolicy bogatej w tłusty węgiel koksujący. Powzięliśmy postanowienie, że Śląska nie oddamy.

Pękalska Zofja

Dańdówka—w listopadzie 1935 r.

Jak uczciliśmy płytę Nieznanego Żołnierza w dzień Wszystkich Swiętych.

Kilka dni przed dniem Wszystkich Swiętych zwołaliśmy zebranie, na którem omówiliśmy przebieg uroczystości przy płycie Nieznanego Żołnierza. Płyta ta została wybudowana kosztem świetlicy i uroczyście odsłonięta koło pamiątkowego krzyża z roku 1920 w dniu 11 listopada 1934 r. Ustalono, że w tym roku w dzień Wszystkich św. świetlica złoży wieniec na płycie Nieznanego Żołnierza.

Przy złożeniu wieńca będą wygłoszone przemówienia i deklamacje. Po ustaleniu tej lokalnej uroczystości zarząd rozdzielił pracę przygotowawczą między członków. Muszę podkreślić, że członkowie bardzo chętnie i ofiarnie zgłaszali swój udział w przygotowaniu tej uroczystości. W dniu 1 listopada, to jest w dzień Wszystkich Swiętych o godzinie 9 rano zebraliśmy się w lokalu Swietlicy, skąd wyruszyliśmy w stronę płyty Nieznanego Żołnierza. Gdy przybyliśmy na miejsce, zastaliśmy już sporą gromadę mieszkańców naszej wioski.

Na wstępie kierownik świetlicy wygłosił krótkie przemówienie wyjaśniając zebranym dlaczego w dniu święta umarłych pamiętamy też o płycie Nieznanego Żołnierza. Po przemówieniu uczczono pamięć poległych w obronie ojczyzny minutą milczenia. Następnie dwaj członkowie świetlicy złożyli na płycie wieniec z dwoma czarnemi szarfami, na których widniał napis: „Nieznanemu Żołnierzowi Swietlica w Sikorce".

Poczem Stychno Zygmunt wygłosił deklamacje p. t. „Na grobie Nieznanego Żołnierza". Po tej podniosłej deklamacji, w imieniu świetliczan wygłosił przemówienie Jan Żywiołek, które podaje dosłownie: „W imieniu kolegów i koleżanek Swietlicy w Sikorce, składam hołd Nieznanemu Żołnierzowi, który przelał krew i położył swoje życie w obronie naszej ukochanej Ojczyzny. Zgromadziliśmy się tutaj, ażeby uczcić pamięć tych, którzy swoją ofiarnością i poświęceniem sprawili nam, że dziś możemy swobodnie mówić po polsku, mamy polskie szkoły i urzędy, polskie wojsko i polski rząd, który stara się naszą ukochaną ojczyznę prowadzić ku potędze mocarstwowej.

Chciałem jeszcze zaznaczyć, że tak jak Ci, co wywalczyli nam Niepodległą Polskę, tak i my jesteśmy zawsze gotowi stanąć w zwartym szeregu i w razie potrzeby mężnie i ofiarnie bronić zagrożonych granic. Na zakończenie tej uroczystości został odśpiewany przez wszystkich zebranych hymn państwowy „Jeszcze Polska nie zginęła".

Wieczorem na grobie Nieznanego Żołnierza zostały zapalone różnokolorowe lampki, które były ułożone w kształcie krzyża. Miejscowa ludność też zaopiekowała się tą mogiłą i zapaliła świeczki.

Jan Żywiołek

sekretarz świetlicy w Sikorce.

Bolączki ośrodków wiejskich.

(Co się dzieje z młodzieżą po opuszczeniu szkoły!)

Bardzo często daje się zauważyć na naszych wsiach taki dziwny zwyczaj: Chłopiec ma 14 lat, wychodzi ze szkoły. Co go sam kierownik szkoły za cały czas nauki wyuczył, to potem wykręcając się za krowami, bo przecież do innej roboty jeszcze za słaby, zapomina. Równocześnie tu właśnie na pastwisku uczy się grandować! Złapią tacy złośliwi chłopcy jakiego starego chłopa. Jak ich jest kilku, taki staruszek sobie rady dać nie może. Tymczasem owe łobuzy guziki mu obrywają od marynarki, aby mieli w co grać. Taki staruszek z płaczem odchodzi i przeklina ich na czem świat stoi. Taki łobuz, kiedy już ma 17 — 18 lat, to się już wstydzi krów paść, już sobie grzywę zapuszcza, czapkę na bakier i nie przystępuj do niego, bo Antek, jak djabli. Przydarzy się gdzieś na wsi wesele, to się ściągają takie łobuzy z dziesiątych wsi, już matce dychnył z 5 złotych, bo gust to na butelkę ma, no i jaką taką trosicynę wypije tej opary, to zaczyna głupieć, wyciąga swój pitwok i dalej żgać na prawo i lewo. Najczęściej kończy się na tem, że jednych zabierają do szpitala, drugich do kozy. Dopiero później ojcowie mają kłopot z sąsiadami. W więzieniu dopiero wyuczą takiego albo na złodzieja albo na porządnego zabijakę. Piszę tu o tych wsiach, gdzie niema organizacji i które specjalnie obserwowałem. O ile tu tak piszę, bo widziałem to na własne oczy. Gdyby taki chłopiec, jak wyjdzie ze szkoły, wstąpił do jakiejś organizacji, napewno nie nauczyłby się nożem bić, ani wódki pić, tylko nauczyłby się lepiej czytać i innych pożytecznych rzeczy. Dlatego też wołam, że na każej wsi powinna istnieć organizacja oświatowa. *Dróżdż Stanisł.*

Malinowice, dn, 10-12-1935 r.

ANDRZEJKI.

„A więc koledzy, jesteśmy w djablo trudnych tarapatach finansowych zdani na łaskę skromnych składek członków, nie możemy poprostu związać końca z końcem, bo proszę sobie wyobrazić naszą sytuację materjalną i znaleźć z niej jakieś możliwe wyjście. Oto krótkie zestawienie naszych zobowiązań: opłacenie przyłączenia światła, koszt malowania lokalu, abonament radjowy, opał, światło, dopłata do lokalu i masa mniejszych innych wydatków. Nasze składki członkowskie nawet w części tego nie pokryją, więc też na dzisiejszym zebraniu musimy koniecznie znaleźć możliwą drogę wybrnięcia z tych kłopotów". Taką to mówkę palnął nam pan kierownik na walnem zebraniu.

Posypały się też rady i projekty. Jedni radzą podwyższyć składki, drudzy znów—urządzić jakąś imprezę dochodową, przedstawienie lub coś w tym rodzaju, a jeszcze inni radzą zwrócić się o pomoc materjalną do Zarządu Gminy, lecz niestety żadna z tych rad niema racji bytu, gdyż albo godzi w naszą ambicję samowystarczalności lub też jest trudną do zrealizowania w tak szybkim czasie. Wreszcie któryś krzyknął urządźmy zabawę, będzie przyjemne z pożytecznym, ubawimy się i będzie jakiś dochód. Tu się dopiero rozwiązała dyskusja, jedni usposobieni optymistycznie obiecują sobie złote góry z tej zabawy, pesymiści znów mniej zapalni boją się kosztów i wpadki, tak że stworzyły się dwa obozy, wreszcie zwolennicy zabawy zwyciężyli. Postanowiono urządzić zabawę 16 listopada. Natychmiast też wybrano komitet, który miał się tem zająć, lecz, niestety, wielu zwolenników zabawy było tak chwiejnych, że rozmyślili się przy pierwszych napotkanych trudnościach. Niemając innego wyjścia, postanowiliśmy pracą komitetu obarczyć nas samych t. j. zarząd i zabawę urządzić lecz w innym terminie, gdyż w pierwszym było już za późno. Na tygodniowym zebraniu zarządu ustaliliśmy datę zabawy na dzień 30 listopada. Urządzamy „Andrzejki" zabawę na większą skalę, prawdę mówiąc dochodową za zaproszeniami i z obfitym bufetem. Na parę dni przed zabawą zabraliśmy się do dekoracji sal i innych prac przygotowawczych. Nadszedł wreszcie dzień 30 listopada. Z samego rana w świetlicy ruch, zamiatanie, mycie podłóg, wynosi się wszystko, co zbyteczne, aby było jaknajwięcej miejsca. Prezesowi widocznie zrana jakaś mucha usiadła na nos, bo przyszedł skwaszony i zły na wszystko, lecz, widząc naszą ożywioną pracę ze słowami „ręce sobie urobię, a musi być wszystko w porządku" zabiera się do roboty. Na godzinę piątą wszystko gotowe. Dwie izby przeznaczono do tańca. Trzecia izba, to bufet. Oczy mętnieją, nos zaczyna przybierać barwę szkarłatną na widok smacznych potraw. Kierownik, widząc mój zachwyt, odzywa się do mnie: „Słuchaj Geniek, tobie polecam reklamowanie bufetu i dostarczanie odbiorców". „Panie kierowniku, zrobione, do rana ani śladu z tego nie zostanie"! O godz. 8-ej zjawiają się pierwsze pary i po przywitaniach wszystko puszcza się w takt ognistej poleczki, zabawa wre na całego. Ja, ponieważ nie jestem wielkim zwolennikiem tańca, zasiadłem przy bufecie i melancholijnym wzrokiem ogarniam nasz skład kiełbas, wtem patrzę, a tu wali się cała wiara świetliczanek i świetliczan z pod Sławkowa. Brawo! Grunt to solidarność. Na cześć tej solidarności wnoszę radosny, później już cały świat jest mi taki bliski i kochany. W uszach tanga zamieniają się w niebiańskie melodje, jestem, jak święty, który dla wszystkich czuje miłość i przyjaźń. Wreszcie siadam w ustronnym kąciku i spokojnie zasypiam. Śnią mi się rozbawione pary, zastawione stoliki, widzę nad sobą schylone główki dziewczęce i słyszę szept „Gienku, dlaczego tak długo śpisz, wszak już piąta, a my chcemy z tobą tańczyć". Ze słowami: Dajcie mi święty spokój! płynę znów w krainę marzeń. Śnią mi się jasne brzegi Florydy, identyczne z widzianemi na filmie, życie miljonerów, muzyka, szampan, wino, jasne słońce, złociste plaże z falami rozbawionych tłumów. Wszystko to jak w kalejdoskopie przewija się w mym umyśle rozmarzonym. Naraz wszystko pryska, jak bańka mydlana, obudziłem się... rozglądam się wokoło. Ostatnie pary zabierają się do wyjścia. Prezes z kierownikiem obliczają kasę. Pytam się—wpadka czy zysk? Zysk! odpowiadają obaj. A więc byczo! Zabieram się i zapycham do domu. Pomimo niechęci niektórych członków i wbrew ich przewidywaniom zabawa udała się, a my wybrnęliśmy z kłopotów i mamy głowy spokojne na jakiś czas. Za pośrednictwem „Zewu Świetliczan" dziękuję świetlicy z pod Sławkowa za tak gremjalne przybycie i poparcie nas.

E. Janasz

Strzemieszyce. Swietlica im. A. Mickiewicza.

W „Robotniczej Spółdzielni Eksploatacji Huty Szklanej w Strzemieszycach".

(Opis szczegółowy produkcji butelek, szkła, oraz warunki pracy).

Miesiąc listopad jest bardzo ponury, to też znudzony ciągłym siedzeniem w Swietlicy lub w domu wyszedłem bez wiadomego celu na ulicę. Deszczyk mżył, przechodniów było bardzo mało, aż tu spotykam kolegę: Serwus Bolek, dokąd dążysz? — ty to Maniek, chodź ze mną do Huty — proponuje mi Bolek. „Dobrze idziemy i wielu innych Swietliczan zabieramy"! Przed wejściem widniał dość duży szyld: „Robotnicza Spółdzielnia Eksploatacji Huty Szklanej w Strzemieszycach". Po załatwieniu pewnych formalności wchodzimy na plac Huty. Pierwszym widokiem wewnętrznym jest kuźnia przeznaczona do użytku fabrycznego. Tutaj dokonywa się naprawa form lub też innych narzedzi. Z drugiej strony leżą stosy gotowych butelek, słoi, balonów. Tu jest magazyn — tłu-

maczy Bolek. Dalej widnieje hałda węgla, a obok pod ziemią jest palenisko. Do paleniska sypie się węgiel, słyszą wyjaśnienie Bolka, który paląc się wydziela gaz, idący kanałem do t. zw. bębna, gdzie się oczyszcza z dymu, który idzie kanałem do komina. Gaz natomiast do pieca ze szkłem. Idziemy obejrzeć piec, który znajduje się w dużym budynku. Na samym wstępie uderza nas mocno rozgrzane powietrze, pomieszane z zapachem sody oraz słychać gwar głosów, śpiew, szczęk żelaznych rurek, butelek, pomieszanych razem oraz widzimy do białości rozgrzane szkło migające się w różnych punktach pieca.

Sam piec wysokości 2.40 m. jest zbudowany z kamieni piaskowych pościąganych klamrami żelaznemi, kształtu półokrągłego z ogniotrwałem sklepieniem na wierzchu.

W około pieca na wysokości 40 cm. od ziemi jest podłoga. Ponad nią na wysokości 80 cm. znajdują się otwory zwane butami do nacierania szkła. Obok nich są otwory zwane kuchami służące do rozgrzewania wykonanych po części butelek w celu dalszej ich obróbki. W piecu szkło znajduje się w stanie płynnym. Robotnicy przez otwory, zwane butami, nabierają roztopione szkło rurkami żelaznemi t. zw. piszczelami dług. 1.20 m. formując z niego małą bańkę (podobnie jak małe dzieci przy zabawie robią małe bańki mydlane), za pomocą której inny pracownik nabiera większą ilość ilość masy szklanej i udaje się z nim do t. zw. korytka, tam odpowiednio przyrządzonem drzewem nadaje mu pewne kształty. wreszcie szkło w stanie gęsto płynnym wpuszcza do formy żelaznej i przez obracanie i dmuchanie otrzymuje butelkę, lub też innego rodzaju przedmiot szklany; Po nadaniu jej ostatnich zabiegów t. j. wykończeniu szyjki zostaje odniesiona do zwanego hartownią lub ciągownią dług. 25 m., szer. 1.5 cm. z ruchomą blaszaną podłogą, na której układa się pierwej zrobione butelki Podłoga z butelkami posuwa się naprzód przez ogień spalonego gazu, wreszcie butelki wyjmuje się już całkiem zimne. Następnie sortuje się je i odnosi do magazynu. — Słuchaj Bolek, a w jaki sposób powstaje szkło w piecu? — „Otóż (słyszę wyjaśnienia) do otworu w piecu 30 x 30 sypią, o ile to ma być szkło jasne, piasek rzeczny, sodę, wapno i inne składniki chemiczne. A do wyrobu szkła ciemnego przeważnie używają szkła strzaskanego, nazwanego stłuczką z domieszką sody, rudy i małej ilości wapienia. A jak często sypią materjał na szkło do pieca i przy jakiej temperaturze się topi? Zapytuję Bolka. Sypią w zależności od wyrobu, mniej więcej 3 razy na 8 godz.; temperatura topliwości szkła jest około 800° 1000°.

Aż słyszę dzwonek, — pytam co to jest? — Przerwa obiadowa! Widzę robotników, którzy spieszą strudzeni na obiad. Po posileniu się, ciekawie zapytuję jednego z nich, ile godz. pracują dziennie i na ile dni? Otrzymuję odpowiedź, że dniówka trwa 8 godz., ludzie pracują na dwie zmiany, a na 3 dni w tygodniu ponieważ jest brak zamówień. Co się przyczynia do tego?— zapytuję. W dużej mierze brak zamówień tłumaczy się ogólnym zastojem; z drugiej strony są winni ludzie, którzy zbierają najrozmaitsze stare butelki i sprzedają je po parę groszy do użytku, choć nieraz z tego bywają różne choroby. Przecież butelka nowa daje gwarancję czystości, wytrzymałości i pracę na chleb robotnikom, którzy są obarczeni rodziną. A jakie macie zarobki? Oj panie, zarobki są bardzo małe, tak, że człek końca z końcem związać nie może. Lecz żyjemy nadzieją, że może się poprawią czasy i będziemy mieć większe zamówienia. Przerywa nam rozmowę dzwonek wzywający pracowników do dalszej pracy. Znów słychać gwar: „Stefan przynieść wody do korytka, — myj piszczele — przynieść wiórek, — ustawcie formę, — podaj mi nareszcie strachajz, (przedmiot w kształcie noża z grubej blachy, który obcina butelki umaczany w wodzie) i t. p. inne pokrzyki. Od pracownika, z którym rozmawiałem, otrzymuję szklaną rurkę, ładnie wykonaną. Dziękując „mu“ za wyjaśnienia i prezent opuszczam teren huty z szacunkiem dla robotnika, który tracąc zdrowie w pracy dla utrzymania swoich rodzin, nie baczy na żmudną pracę. Szacunek dla robotnika musi się pogłębić w społeczeństwie, gdyż często słyszy się zdanie, że robotnik jest niżej postawiony umysłowo od innych warstw społeczeństwa. Zdanie to musi ulec radykalnej zmianie, gdyż robotnik nie jest może wykształconym, ale umysłowo nie stoi niżej od innych. Człowieka nie tworzy wykształcenie, ale charakter.

Marjan Karwecki

Strzemieszyce, dn. 5.XII.1935 r.

Wrażenia z wycieczki do Kop. „Mars“.

Czwarty grudzień. Na kopalni panuje ruch i zgiełk. Wszak to dzisiaj dzień św. Barbary, święto górników. Po nabożeństwie i wszelkich uroczystościach zarząd kopalni pozwala osobom „postronnym“ zwiedzać w tym dniu podziemia kopalni. To też zebrała nas się spora gromadka, by poznać te czarne głębie. Ileż to godzin, dni a nawet lat spędzają nasi ojcowie i bracia w tych pogrążonych w wieczną noc czeluściach.

Pierwszym etapem naszej wycieczki było „zjechanie na dół“. Do kopalni „Mars“ zjeżdża się po pochylni. Pierwsza klatka zjazdowa była tak przeładowana, że z trudem udało nam się znaleźć kawałek miejsca. Po krótkiej jeździe (nawiasem mówiąc, bardzo przyjemnej) znaleźliśmy się na dole. Teraz czekała nas uciążliwa wędrówka po różnych zakamarkach kopalni. Przyświecając sobie karbidówkami, zwiedziliśmy stajnię, pompy, zapoznaliśmy się z pracą górników. Wokół nas świeciły się pokłady węgla, niedarmo nazwane „czarnemi diamentami“. Nie obyło się również bez przygód. Nie wiem, czy nasz przewodnik chciał koniecznie, abyśmy dobrze zapamiętali naszą wycieczkę, dosyć, że oprowadzał nas po takich wer-

tepach i manowcach, że trudno się było przecisnąć. Wpośród ogólnej wesołości daje się słyszeć żałosny głos: „O moja głowa“! Okazało się, że ktoś z uczestników był za wysoki i walnął głową o jakąś „kapę“. Po krótkim masarzu potłuczonej głowy ruszyliśmy dalej. Trudno jest naprawdę opisać wszystkie wrażenia, jakich doznaje się przy pierwszym pobycie w kopalni! Chwilami zachwycaliśmy się wodą, która wypełniała szczeliny w węglu, to znowu wpadaliśmy w grobowy nastrój, gdy ujrzeliśmy miejsca, które zaczęły się „rabować“. Przyszli nam na myśl nasi najbliżsi, którzy tak muszą się dla nas poświęcać i narażać nieraz swoje życie. To też wszyscy w duchu pomyśleliśmy sobie: pracy górnika niech będzie cześć!

Świetliczanka z Podłosia.

Nasze wady.

Niezmiernie trudna jest w Swietlicy sprawa wytworzenia harmonijnej i zgodnej na wzajemnem zaufaniu opartej współpracy między członkami. Osobiste ambicje, podejrzenia, plotki stwarzają wiele przeszkód, o które rozbija się wiele zamierzeń i poczynań. Każdy z nas ma swoje wady. Żeby nie legły one ciężarem na naszej pracy, musimy się z całą świadomością zabrać do ich zwalczania. Do wad, które najbardziej w świetlicy odczuwać się dają, zaliczam: plotkarstwo, brak dyskrecji, podejrzliwość i zbyt pochopne wydawanie sądów o innych. Plotkarstwo i brak dyskrecji—to impulsywność właściwa kobietom, lecz, niestety, nie jest ona obca i mężczyznom, potrzeba podzielenia się z innymi tem, co nam leży na sercu, zwierzania się, których się potem mocno żałuje, są niejednokrotnie bardzo przykre w skutkach, które, jak kłody, walą się na drodze pracy w świetlicy. W cnocie trzymania języka za zębami musimy się ćwiczyć z dnia na dzień. Podejrzliwość i obrażliwość wypływa ze świadomego poczucia własnej małowartościowości i ściśle z nią złączonego uczucia zazdrości. Nie zgodzę się z tem nigdy, aby człowiek rozsądny, opanowany i mający poczucie własnej godności mógł się obrażać. Jeśli ktoś stawia mu zarzut słuszny, zawsze przyzna rację. Jeśli zaś nie słuszny z łatwością go odeprze. Rozumiejąc dobrze, że wszyscy do wszystkich nie mogą czuć sympatji, będzie się trzymał zdaleka od tych, do których czuje niechęć, co nie będzie mu przeszkadzało w stykaniu się z nimi w pracy i w szanowaniu ich, jeśli na to zasługują. Człowiek, który się czuje pełnowartościowym, nie będzie się obrażał, poprostu będzie miał cywilną odwagę przyznać się do swych błędów. Człowiek mało wartościowy za każdą zwróconą mu uwagę (oczywiście słuszną) będzie się obrażał, a we wszystkiem, co mówią będzie się doszukiwał chęci poniżenia go i upokorzenia. Walka z tymi wadami jest bardzo trudna. Wymaga nieustannych ćwiczeń i pracy nad sobą. Powtarzam jednak, że wady te każdy z siebie wykorzenić może, potrzeba tylko trochę dobrych chęci i silnej woli, a przedewszystkiem trzeba chcieć.

Chojnacki Witold

Strzemieszyce. Prezes świetlicy im. A. Mickiewicza.

Że „Swietlicy“ w Podłosiu.

„Świetlica“ nasza powstała niedawno, więc też nie możemy się poszczycić wielkiemi sukcesami naszej pracy. A jednak pracujemy! Ostatnio mamy w programie urządzić tradycyjny opłatek, przygotować jakiś program na zjazd świetlic w Łagiszy, no i koniecznie chcemy w okresie świąt Bożego Narodzenia wystąpić na deskach scenicznych. Najtrudniej idzie nam zawsze z próbami. Ten zapomni o próbie, tamten jest na „dniówce“, to znowu inny nie jest dysponowany (z powodu chrypy czy innej grypy). Jednakże jesteśmy niezrażeni i nie myślimy skrzydeł opuszczać. Pozatem czytamy w „Swietlicy“ gazety, książki, bawimy się i gramy w warcaby, szachy i ping-ponga. Od czasu do czasu sekcja kulturalno-oświatowa urządza wycieczki. Ostatnio wybieramy się do Klinkierni w Gródkowie.

A już najwięcej to chyba lubimy śpiewać; Z niecierpliwością czekamy czwartku, a z nim lekcji śpiewu. Ustawiamy się w porządku. Zaczyna się głośna rozmowa: „ty śpiewasz w alcie, a ty w sopranie, ten znowu w basie“. Wreszcie i ci co „basują“, „tenorują“ czy „altują“ stają na swoich miejscach i zaczynamy śpiewać. Czasem ogarnia nas czarna rozpacz, gdy w całej wsi nie możemy pożyczyć skrzypiec dla pana Instruktora. Biegamy, chodzimy od chałupy do chałupy po to tylko, by przyjść do „Swietlicy“ i powiedzieć złamanym głosem: „niema“. Złorzeczymy wtedy na niemuzykalność naszej wsi ile się zmieści. Wreszcie znalazł się jakiś zabytek przedpotowy o trzech strunach i czwartym kołku złamanym. Z biedą udaje się p. dyrygentowi wydobyć jakieś głosy. Ale później wszystko jakoś idzie składnie i przy końcu lekcji z przyjemnaścią możemy się poszczycić jakim „Mazurkiem“ z jasełek“ czy inną pieśnią. *Knaś Józef z Podłosia.*

Grudzień.

Jak założyliśmy własną orkiestrę.

Już od dłuższego czasu świetliczanki i świetliczanie bili się z myślami w jaki sposób mozna byłoby założyć własną orkiestrę.

Więc nadszedł niecierpliwie oczekiwany czas i otóż w dniu 1 czerwca r. b. zostały zakupione przez zarząd świetlicy instrumenty, a z dostawą takowych zawarto umowę w ten sposób, ze 25% przypadającej sumy wpłacono z góry zaś pozostałe 75% rozłożono na 5 rat miesięcznych. Począwszy od 1 lipca r. b. instrumenty te są w posiadaniu członków, a stanowią własność świetlicy do dnia 1 listopada r. b. Po dniu tym przechodzą na własność poszczególnych członków, oczywiście po wpłaceniu przez takowych ostatnich rat.

W tymże dniu nastąpiło otwarcie kursu

przez p. Sikorskiego, na którym to zgłosiło zgłosiło się 22 chętnych do orkiestry. Koszta i wynagrodzenie instruktora w 50% pokrywa kasa świetlicy. Do nauki zabrano się z taką gorliwością, że już po miesiącu świetlica mogła się poszczycić swoim występem na uroczystości w „stolicy — mieście“ Ząbkowicach.

Zawiązanie powyższego zespołu należy zawdzięczać obecnemu zarządowi, który dołożył wszelkich starań, ażeby cel ten zrealizować i przy minimalnej opłacie zakupić i wyuczyć się grać na upodobanym sobie instrumencie.

Grabowski Kazimierz
zast. kier. świetlicy w Wygiełzowie.

Nasza wieczornica.

Dnia 24-XI-1935 r. odbyła się w świetlicy w Dańdówce wieczornica — herbatka. Na tejże herbatce obecny był p. prof. Bol. Nytko. Herbatkę zaczęliśmy muzyką. Bawiliśmy się bardzo wesoło i chętnie. Po kilku godzinach tańca wypadało coś jeść. Nadmienić należy, iż nasza herbatka miała obfity i urozmaicony program). Przeszliśmy więc do drugiej sali‘ przy obficie zastawionych stołach, popisywaliśmy się pojemnością naszych żołądeczków... Przy herbatce śpiewał nasz maleńki chór „Grzmot“, który ze swego zadania wywiązał się znakomicie. O całym chórze, (w którym wszyscy świetliczane i świetliczanki biorą udział) lepiej nie pisać. Świetliczanki i świetliczanie popisywali się monologami i deklamacjami aż miło. Nastrój był bardzo wesoły i swobodny. Po herbatce zaczęły się tany na nowo. Muzyka wypocząwszy i podjadłszy grała tak pięknie, że nawet ci, którzy nie umieli, puszczali sil w tany. Zabawa przeciągnęła się do 1-ej w nocy. Wszyscy z żalem opuszczali pięknie udekorowaną salę, w której tak ładnie się bawili. Lecz to nie koniec na tem. Po zabawie trzeba było salę posprzątać, pownosić ławki, co nam zajęło około dwuch godzin czasu. O godz 3-ej rano ten i ów trzymają się pod ręce (niby dlatego, że było ślisko) wracał chwiejnym krokiem do domu z piosenką na ustach, z zadowoleniem i radością w duszy.

Dańdówka, dn. 14-IXI-1935 r. *„Świetliczanin„*

Nadesłane utwory:

1. Strzemierzyce, Chojnacki Marjan: — Artykuł o treści poważnej i rzeczowej. Styl gładki i miły. Autor dobrze pojmuje zadania świetlicy: „Nie trzeba jednak świetlicy uważać tylko za lokal rozrywkowy w czasie nudów zimowych, ale trzeba iść tam z myślą, że przecież coś tam skorzystam, pogłębie swoją wiedzę, zrobię coś dobrego dla drugich“.

2. Stzemieszyce, „Elbe“: — Pacyfizm i militaryzm doby obecnej, a nastawienie psychiczne młodzieży“.

Pogląd autora, że należy być zawsze gotowym do obrony, jest słuszny. Zapatrywania i ocena roli Ligi Narodów są bezwątpienia prawdziwe. Charakterystyka stanu psychicznego młodzieży powojennej, dojrzewającej w okresie szalejącego kryzysu, jest dobra, ale za ogólna. Byłoby pożądanem, by Autor opisał nam szczegółowo, co robi młodzież w Strzemieszycach, pozbawiona pracy. Przykłady proszę brać z własnego otoczenia. Opisać proszę najbliższych znajomych lub przyjaciół, ich biedę, niedolę i ich zapatrywania na różne codzienne sprawy z Waszego środowisku.

3. Kolonja „Bór“ J. B.: „Na roztrzepionej do niedawna placówce“. — Miło nam jest, że nareszcie świetliczanie dogadali się i obrali sobie sobie ruchliwy zarząd w osobach p. Turczyna, p. Leśniaka i innych. Może wspólnym wysiłkiem całej świetlicy i mieszkańców Boru uda się pokonać owe piachy „abisyńskie“, które jak półtora nieszczęścia rozwaliły się na Waszym gościńcu, ciągnącym się do Niwki. Dałby Bóg, aby kto się zlitował nad owym zaczętym gościńcem nad Przemszą i Bobrkiem i połączył Was ze światem, Jęzorem i Niwką. Spróbujcie tylko. a może się uda Wam włączyć na falę bezpośredniej łączności ze Śląskiem i Zagłębiem.

4. „Polskie szkolnictwo i oświata pozaszkolna zagranicą“. Kol. „Bór“ — J. B.

Artykuł jest pełen troski o naszych rodaków, znajdujących się w granicach naszych sąsiadów. Przytoczmy apel naszego korespondenta: „Swietliczanie do Was kieruję me słowa prośby, jakodo członków(iń) najmłodszego zrębu organizacyjnego, rzućmy hojnie datki pieniężne, książki i inne ofiary na rzecz braci z za kordonów, bo nie możemy być organizacją „frazesu“, nie możemy być organizacją gestu — jeno, jeno — „CZYNU“! Godne naśladowania.

Komunikaty.

Przypominamy zarządom świetlic, przodownikom zespołów, świetliczanom i świetliczankom, iż w dniu 1 stycznia 1936 r. odbędzie się zjazd sąsiedzki świetlic z gminy niweckiej. W dniu 15-XII-35 r. ustalimy wspólny program, podobnoć niektóre świetlice mają zamiar rzucić hasło propagandy książki, t.zn. zamierzają na swoich pogwarkach sąsiedzkich uczcić jednego z większych pisarzy polskich, a szczególnie drogiego danemu zespołowi. Życzymy dobrych wyników!

W dniu 12-I taki sam zjazd będą miały świetlice z Gołonoga, kol. Dziewiąty, Łagiszy, Podłosia i Malinowic w Łagiszy.

26-I zjedą się na swoje gody sąsiedzkie świetlice z gminy Olkusko-Siewierskiej,

We wszystkich świetlicach wre teraz wytężona, realizują się plany, ułożone we wrześniu i październiku. Wszyscy czytają w zespołach, przygotowują choinki wspólne opłatki. Zespoły wokalne i muzyczne zbierają się w oznaczone dni i uczą się kolend i innych pieśni.

Wszyscy świetliczanie zapoznają się z „Zewem Swietliczan".

PRENUMERATA: rocznie 90 gr., półrocznie 45 gr.,
z przesyłką pocztową rocznie 1 zł. 15 gr, półrocznie 58 gr.

Cena numeru pojedyńczego 15 gr. (dla świetliczan 5 gr.)

Przypominamy, że świetlicowe Komitety Redakcyjne winny zająć się rozsprzedażą numeru ZEWU ŚWIETLICZAN, a pieniądze przesyłać bezzwłocznie załączonym blankietem P. K. O. na konto Kasy Komunalnej w Będzinie Nr. 51.145, na odwrocie środkowego odcinka blankietu należy dopisać „na rachunek Zewu Świetliczan".

Nierozsprzedane numery należy zwrócić do Administracji.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: Dział Kulturalno-Oświatowy Wydziału Powiatowego w Będzinie, ul. Sączewskiego Nr. 17. Telefon Redakcji i Administracji — Będzin 4-71.

Redaktor naczelny: Prof. Bolesław Nytko.

Wydawca; Komitet Międzyświetlicowy Zagł. Dąbrowskiego: p.p. Henryk Radowiecki z Maczek, Będkowski Jan z Boru, Bijałd Józef z Niwki, Kania Aleksander z Porąbki-Pekinu, Grabowski K. z Wygiełzowa, Franusik St. z Rogoźnika, Chojnacki W. ze Strzemieszyc.

Zakłady Drukarskie i Introligatornia „SZTUKA", Dąbrowa-Górn. 3-go Maja 9, tel 2-59.